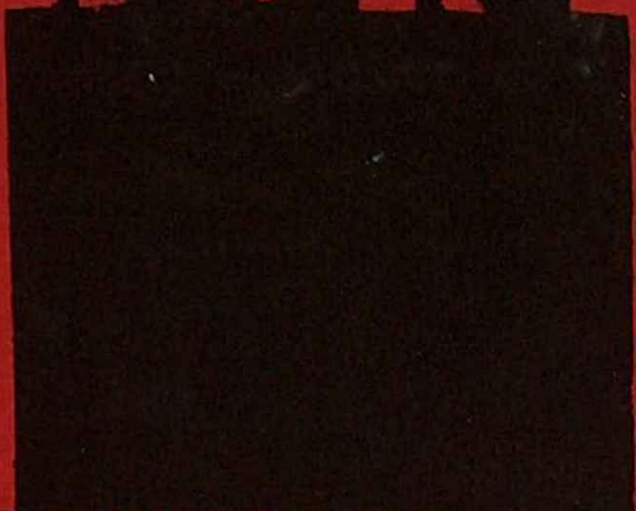


2014



ANDY BRYAN



NRG

# TRYBUNA

---

PISMO MŁODEJ DEMOKRACJI  
WYCHODZI 1-go i 15-go KAŻDEGO MIESIĄCA

ROK PIERWSZY — NUMER SZÓSTY — 1-go CZERWCA 1932 R.

---

## TREŚĆ:

- W pejzażu — *Józef Czechowicz*  
Widok z kępy Oksywia — *Antoni Madej*  
Płaszcz — *Bronisław Ludwik Michalski*  
Słowo o prokuratorze — *Józef Łobodowski*  
Wielkie hasła a dzień po-  
wszedni — *Józef Mazurkiewicz*  
Pochód małego średniowiecza — *Józef Falandysz*  
Zawiazane oczy Temidy — *Antoni Furgala*  
Nowe wydawnictwa. Noty.

---

Kłiszę tytułową ciął w linoleum Jan Samuel Miklaszewski

---

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lublin, Krak.-Przedm. 70. Tel. 13-92  
Godziny przyjęć: 18 — 20 we wtorki i piątki.

---

Redaktor:  
**Józef Falandysz.**

Wydawca:  
**Zbigniew Chomiec.**

---

Prenumerata roczna 15 zł. — kwartalna 4 zł. — numer pojedynczy 80 gr.

---

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strony 150 zł., 1/2 80 zł., 1/4 40 zł., 1/8 25 zł.

---



## Z wieczoru poetyckiego \*)

JOZEF CZECHOWICZ

### W PEJZAŻU

szum kasztanów niżej morski śpiew  
gasną o zmierzchu świece ukwieconych drzew  
droga w gaju wprost słońca złoci się podwójnie  
od szumu i wieczoru ciemniej ustronia  
kołysząc się trawą bujną  
dziewczyzny smukłe na koniach

wzgórze na drożyn skrzyżowaniu  
tam kapliczka chłodna jak koral  
w półmroku krzyż tam anioł  
opuszczone wota rybaków  
zapomniana oddawna pora  
w rozbitym dzbanku spleśniała śmierć maków

morze szumi kasztany  
konie kopytami złoto nad wodą mącą  
z jadących jedna rękę podniosła  
i znak daje poruszając nią w powietrzu jak wiosłem  
bo został u kaplicy żrebak zabłąkany  
zajrzał do wnętrza dotknął miękką wargą drzwi  
zarzał dziecinnie wysoko niewiadomo o co

---

\*) W dniu 7 maja w Towarzystwie Muzycznym odbył się wieczór autorski piątki lubelskich poetów: Józefa Czechowicza, Antoniego Madeja, Józefa Łobodowskiego, Adama Galisa oraz Bronisława Ludwika Michalskiego. Impreza ta, rzadka w stosunkach lubelskich, była dla artystycznego Lublina niecodziennym zdarzeniem. Najatrakcyjniejszą stroną wieczoru były recytacje samych autorów.

W niniejszym numerze „Trybuny” drukujemy czterech autorów, biorących udział w wieczorze. W następnym numerze zamieścimy wiersz p. Galisa, gdyż wskutek wyjazdu poety z Lublina nie mogliśmy otrzymać jego wiersza.



ANTONI MADEJ

## WIDOK Z KĘPY OKSYWIA

O słodka prawdy poezjo!  
Nie sny już, nie marzenia!  
Te wzgórza — to nasze wzgórza.  
To morze — to morze własne.  
Ten wiatr jodowy i słony —  
to wiatr nadmorskich przestrzeni.  
To miasto w dole — to Gdynia —  
to hymn z betonu jasny.

Las masztów, statków, wagonów.  
Gąszcz wież, rusztowań bloków.  
Piętra wyniosłych budowli,  
pod niebo sprężone w skoku.  
Chroboty jęklive kranów.  
Donośne trzaski kafarów.  
Śpiew trybów, maszyn, motorów.  
Świst suchy stali i pary.

O słodka pieśni wolności!  
Nie sny już, nie marzenia!  
Port, morze, okręty, ludzie,  
myśli, przeżycia, wrażenia...  
To wszystko zwolna się zwija  
w poezji taśmę srebrzystą...  
Odurza zmysły — porywa —  
stająca się Rzeczywistość.



BRONISŁAW LUDWIK MICHAŁSKI

## P Ł A S Z C Z

prerje beztroska łąk chyżych jak strzala kopyt sarnich  
łąk przed gniewem wichru cwałujących na grzbietach roślin  
może huculski ocean falami wzgórz je ogarniał  
łaskotał kosodrzewiną stadem biegnące naoslep

z postrzyżyn słodkich jak bajka baranich oczu i wełny  
która swej siostrze bawelnie dłoń uścisnęła w przędzalni  
w rzecz wykrojony dorodną dzisiaj już starty wypełzły  
płaszczu najtkliwszej pieścoty w uśmiechu rdzawych migdałów

wzniesioną pięścią kołnierza grożący chłodom posepnym  
inkwizytorom północy gdy sieką igieł kańczugiem  
chudopacholstwo ulicy i zgarbionego poetę  
pod jukiem gorzkich wieczorów pod świateł oślizgłych smugą

wracającego w kąt zimy bez światła i ramion kochanki  
nocą rozsnutą żalostí na stopniach dwu wyżej zera  
jedno twe skrzydło na głowie drugie na różach poranku  
wygięte w uśmiech aforyzm jak pięknie żyć nie umierać



JÓZEF ŁOBODOWSKI

## SŁOWO O PROKURATORZE

panie prokuratorze! —  
protestuję, —  
nie stercz jak szubienica  
u trybunalskich progów —  
przestań pan syczeć jak żmija  
zapytaj księdza —  
napisano w dekalogu  
nie zabijaj! —

deszczem popiołu i siarki  
śmiertelnym walem  
na twarze miastom i łądom  
sypie się w ciszy zdrewniałej  
to jedno słowo  
ż a d a m!

czego — — —  
śmierci? więzienia?  
elektrycznego fotela? —  
tak? —  
zażądaj chleba  
dla głodnych  
od alabamy do czyty —  
dla wszystkich gnijących w celach —  
prokuratorze!  
tyś syty!

nie zadrzy ręka — —  
piękny jest gest patetyczny — —  
a tylko w czarnej drukarni  
zecerzy z sinemi usty  
ułożą w szarej matrycy :



— punktualnie o szóstej  
zawisł na szubienicy!

kawał konopnej przędzy  
na drzącą szyję  
założy człowiek człowiekowi  
brat bratu  
spłynie z ust strumyk cieniutki  
i spurpurowi  
węzeł straszego krawatu...

obywatele, ludzie  
ja który jestem młody,  
ja który pragnę żyć  
wyjdę dziś na ulicę  
i będę wołał na całe miasto  
rozwalcie szubienicę...

czerwcowe wzbierają dni  
wpoprzek dławiącym bastyljom — —  
oto odradza się świat  
najprościej i najwyczałniej — —  
ze wschodu, zachodu, południa  
jest nas milionów milion  
padają czarne więzienia  
rzą poetyckie stajnie....

a kiedy o szóstej godzinie  
przyjdzie milczący kat  
i rękawy koszuli zawinie — — —  
z za krat  
upadnie promień słońca —  
przesączy się w kasztanów zieleni  
jak w ciężkich storach  
i bladym światłem otoczy  
bezwładną skroń prokuratora!



JÓZEF MAZURKIEWICZ

## WIELKIE HASŁA A DZIEŃ POWSZEDNI

...zasada równości teoretycznie i formalnie wcale nienowa, bo od początków naszej cywilizacji głoszona—nie może być czemś od święta, głoszonym z kazalnicy czy katedry i dalej żyć w zgodzie ze swem jawnym zaprzeczeniem, podziałem ludzi na „gorszych“ i „lepszych“...

Od dłuższego już czasu głośno mówi się, że zrównanie ludzi wobec prawa—demokracja polityczna—nie jest zrealizowaniem dążeń do ideału sprawiedliwości społecznej i, że demokracja polityczna często nawet staje się zewnętrzną powłoką, kryjącą wsteczną treść. Dopiero demokracja społeczno-gospodarcza, oparcie roli jednostki w życiu zbiorowym na jej wartościach i pracy daje gwarancję realizacji samego celu. Przytacza się szereg argumentów, mówiących, że praca jest wszystkim, że tworzy to, co jest jedynie istotne—wartości realne.

Rzadziej jednak słyszeć się dają głosy zwracające uwagę, że nieodzownym czynnikiem w budowaniu prawdziwej demokracji jest też przebudowa dusz ludzkich w tem rozumieniu—by w każdym naprawę widzieć człowieka. Wspominali o tem pionierzy demokracji politycznej—praktyka jednak liberalizmu kłam zadała głoszonym hasłom; wspominają o tem i dziś pionierzy demokracji gospodarczo-społecznej—wspominają jednak, sądząc, za mało.

Zbyt zajęci i wprost zasugerowani antytezą demokracji politycznej—mało uwagi poświęcają tej kwestji, sądząc, że w kuźnicy walki o nową Polskę pracy zrodzą się nowe wartości moralne i obyczajowe, które zastąpią dzisiejsze. A jest to rzeczywiście zagadnienie pierwszej wagi. Bez znaczenia będzie równość wobec prawa, nie spełnieni pokładanych w niej nadziei demokracja społeczno-gospodarcza, gdy równolegle nie będzie podążać pogłębianie przeświadczenia, że wszyscy faktycznie są równi, że tytułem do wyróżnienia jest tylko praca i osobiste wartości, a co najgłówniejsze, zasada ta nie będzie wcielona w życie. Musi zniknąć, jako koszmar dawnych dni, pokutujące jeszcze dziś zdanie, że jedni są dłużej z lepszej, inni z gorszej gliny. Ta zasada równości



teoretycznie i formalnie wcale nienowa, bo od początków naszej cywilizacji głoszona—nie może być czemś od święta, głoszonym—z kazalnicy czy katedry i dalej żyć w zgodzie ze swem jawnem zaprzeczeniem wyrażającym się w podziale ludzi na „lepszych“ i „gorszych“, nie ze względów moralnych, intelektualnych czy innych, a z powodów zgoła ubocznych.

Obyczaj, konwenans towarzyski—zwierciadło, w którym odbija się duchowe nastawienie społeczeństwa jest sprawdzianem stanu tego społeczeństwa. Szereg poniżej przytoczonych uwag, poświęconych analizie niektórych objawów naszych zwyczajów, często zdawałoby się bez głębszego znaczenia, oświecili i wyjaśni jak jednak daleko stoimy w codziennym życiu od hasła budowania demokratycznej Polski pracy.

I to i ci, którzy chcą być budowniczymi.

\* \* \*

Już bodajże człowiek tak umiarkowany, coprawda, gdy był młodszy, jak Henryk Sienkiewicz w jednym ze swych listów podaje następujący obrazek: Woźnica, który przywiózł go do domu pewnej rodziny amerykańskiej—został z nim wspólnie zaproszony do mieszkania i ugoszczony, a na wyrażone z tej przyczyny zdziwienie ze strony autora — misski i missaki domowe odpowiedziały, że ten gentleman (woźnica) zajmuje się coprawda innym niż gent'emani z ich otoczenia fachem, ale jest przez nich traktowany też jako gentleman. Od czasów, gdy ten obrazek wprowadzono do literatury polskiej wiele, b. wiele zmieniło się w dziedzinie demokracji politycznej, nieco się nawet zmieniło w dziedzinie demokratyzacji społeczno-gospodarczej społeczeństwa, a jak jednak mało zmieniło się w takich—wydaje się—dodatkowych sprawach.

W społeczeństwie naszym, pomijając drobniejsze grupy, istnieje nadal zasadniczy podział na ludzi uważanych za „przyzwoitych“ (jeżeli ktoś woli „z towarzystwa“) i resztę, która nie ma szczęścia należeć do pierwszej kategorii. O ile dawniej kult pojęcia „człowiek z towarzystwa“ opierał się na pewnych stanowo-gospodarczych pierwiastkach lub podszywaniu się pod te pierwiastki — to dziś wobec oficjalnych zasad demokracji, które się głosi, pierwiastki te straciły swe znaczenie. Jednak mimo utraty swych podstaw dotychczasowych ludzie „lepszych sfer“ nie zmienili swego nastawienia duchowego wobec reszty społeczeństwa.

Wejście do „sfer lepszych“ nowego elementu, rekrutującego się z „tej reszty“ nie polepszyło sytuacji. Nastąpiła asymilacja i w złych stronach życia. Nie odczuwa np. dziś tragikomizmu swego czynu akademik, pochodzący z warstw biednych—gdy ze zgrozą stwierdza, że na jakiś bal dostał się fryzjer, który całkiem poprawnie się zachowywał, a jedynym jego grzechem na balu było, że ktoś odkrył, że jest fryzjerem. Nie odczuwa też całego natężenia pogardy do niższych warstw społecznych, pogardy „dawnych czasów“, wyrażających się w słowach „ubierasz się jak szewc“ it.p.—kto słów tych używa, a tembardziej nie



odczuwa ten, kto czyto pochodzeniem czy nastawieniem uczuciowem jest i chce być z temi warstwami związany. Wynika to z tego, że cała obyczajowość dzisiejsza, a także obyczajowość inteligencji demokratycznej tkwi w pojęciach dawnych—dzisiejszemu życiu nietylko obcych treścią, a wprost będących ich zaprzeczeniem. Nie chcę być źle zrozumianym. Daleki jestem od propagowania tego, co trąci chamstwem czy obniżeniem poziomu współżycia ludzi między sobą. Chodzi mi jednak o to, by zdać sobie sprawę, że rolą młodej demokracji jest tworzenie takich norm współżycia nawet towarzyskiego między wszystkimi ludźmi, które będą odpowiadały idei sprawiedliwości społecznej i zasadzie spajania wszystkich dla wspólnego dobra, a nie tendencjom odśrodkowym.

Zresztą podział ten nie ogranicza się tylko do norm życia towarzyskiego. W wielu środowiskach naszego życia dzieli się ludzi na takich z którymi witać się należy i na takich, którym ręki podać nie wypada. To samo zresztą odnosi się do zwracania się osobistego. Słusznie czy niesłusznie tytuł „pan“ stał się u nas minimum konwenansowego szacunku, jakiego każdy ma prawo wymagać dla siebie. Niektórzy jednak chcą gwałtem zatrzymać podział na „panów“ i tych, którym się mówi „wy“. Dzieje się to zresztą nietylko w kołach prywatnych. Jak przykre robi wrażenie, gdy w jakiejś instytucji lub urzędzie zwracają się przez „wy“ do każdej osoby skromniej ubranej, ile goryczy ten fakt gromadzi w tych ludziach, gdy widzi, iż podkreśla się—nieraz z piedestału czynnika publiczno-prawnego, że są kimś niżej stojącym w hierarchji, uświęconej obyczajem. Nieraz brak zastanowienia się nad podobnemi sprawami jest powodem podobnego postępowania, nieraz zaś faktycznie wsteczne poglądy i zasady. Duże znaczenie jednakowego traktowania wszystkich nawet w tak drobnej wydałoby się kwestji jak tytułacja, zrozumiały dawno wszelkie związki, stowarzyszenia, a nawet kongregacje religijne, określając swych członków mianem towarzyszy, kolegów, druhów czy braci. Wprowadzenie słowa obywatel, jako tytułu dla wszystkich w czasach wielkiej rewolucji francuskiej nie było też frazesem konwencjonalnym.

Dziś przestrzeganie tych zasad cementuje organizacje, ba nawet całe ruchy społeczne. Dużo przecież posiada walorów moralnych prawo zwrócenia się z tym samym tytułem i w ten sam sposób najskromniejszego przedstawiciela jakiegoś związku czy ruchu społecznego do swych najwyższych przełożonych, z jakim ci sami przełożeni zwracać się będą do niego. Jest to nietylko więzią ale i podniesieniem moralnem człowieka. Nie zapominajmy, że i w Legjonach Piłsudskiego—obywatel Komendant rozkazywał obywatelom żołnierzom czy strzelcom.

Trudno, nie udało się u nas do tej pory znaleźć takich form wzajemnego współżycia między obywatelami, któreby pogłębiały nurt, a przynajmniej odpowiadały treści dzisiejszego życia. Chodzi więc tym-



czasem tylko o to by nie były w zbyt rażącej z niem sprzeczności. By tytuł „pan“ dla najwyższego reprezentanta państwa i takież-że tytuł dla najskromniejszego obywatela, podniosłe zwroty—bracia, rodacy, obywatele—nie były tylko czemś od święta, i żeby nie znajdowały zaprzeczeń w codziennem życiu.

Są jeszcze coprawda i resztki prawnego ograniczenia pod tym względem. Myślę o wojsku. Trudno uzasadnić dlaczego, pomijam już szeregowca służby czynnej, np. do podoficera zawodowego oficer ma się zwracać przez „wy“. Po co tworzyć na przepisach oparte przedziały? Komu to potrzebne? Czy są to zasady oparte na polskiej tradycji wojskowej, czy może na tradycji zbrojnych walk o niepodległość? Szkoda przekreślenia pięknych tradycji legjonowych. Te resztki formalnego, na przepisach opartego traktowania niektórych obywateli niżej pewnego minimum pewnie znikną niedługo—trzeba tylko zmiany przepisu, gorzej będzie z przemianą obyczajów.

Nieraz wydaje się, że w niektórych dziedzinach obyczajów naszych następuje proces wsteczny. Wprowadza się akcesorja przebrzmiałych lat, bez treści, obce dzisiejszemu duchowemu nastawieniu obywatela demokratycznej Rzplitej i to wprowadza się tam, gdzie się bez nich z powodzeniem obywno. To na myśl szczególnie przychodzi, gdy widzi się tęsknotę za tarczami i herbami, wcale nie herbowych adeptów korporacyj akademickich, zwrot J. W. P. w korespondencji w tych dziełnicach i tych kołach, gdzie tego zwrotu nie używano. A robią to nieraz instytucje i osoby uważające się i uważane za prekursorów demokracji społecznej.

Pójście po tej linii nabierze charakteru albo odstępstwa od głoszonych zasad lub wprost charakteru groteski.

\* \* \*

Jednak zadaniem młodej demokracji jest ztłać sobie sprawę z dróg na przyszłość w tej dziedzinie. Drogi te idą przedewszystkiem w kierunku: a) znoszenia tam, dzielących społeczeństwo polskie, a faktycznego podnoszenia wszystkiego tego, co je łączy, b) dążenia do faktycznego jednakowego traktowania wszystkich, szanowania w każdym człowieku i jego poczucia obywatelskiego, c) dążenia do dostosowania obyczajów i zwyczajów do treści dzisiejszych zasad demokratycznych, d) zwalczania wszelkich tendencyj w dziedzinie obyczajowej, sprzecznych z temi zasadami.

Jednym z kroków w tym kierunku, który należy z uznaniem zanotować, jest nowa ustawa o ustroju szkolnictwa. Zniesie ona choć w zasadzie podział młodych obywateli na tych, którzy musieli uczęszczać do szkoły powszechnej i tych co—nawet za grosz publiczny mogli tę szkołę ominąć i kształcić się w szkołach dla wybrańców, zwykle ze „sfer lepszych“, gimnazjach. Współzycie dzieci t. zw. „sfer lepszych“



z dziećmi szerszych mas ludowych w szkole powszechnej stwarzać będą węzły, które zniwelują niektóre dzisiejsze rozbieżności. Nie na tem koniec. Podział na mniejsze okresy nauczania w jednej szkole i stąd idące dążności selekcyjne nie pozwolą niezdolnym dzieciom bogatszych rodziców w tym stopniu jak dotychczas utrzymywać się wbrew zdolnościom w szkołach typu wyższego i każą im szukać stanowisk fachowych w zawodach dziś oficjalnie lub skrycie pogardzanych i uważanych za przeszkodę do zaliczania się do „lepszych sfer“. Ten naturalny proces zgóry do dołu, uzupełniony procesem z dołu do góry spowoduje o wiele większe zazębianie się dzisiejszych dwóch grup społecznych wzajemnie mało się znających i unikających się.

Skąd bezwarunkowo zacznie rodzić się i to co nazywamy współżyciem towarzyskiem, a co o wiele ważniejsze i istotniejsze rugowanie pojęć atawistycznie tkwiących w t. zw. warstwach oświeconych, że wszystko poza nimi w narodzie to „ciemnota“, ludzie drugiej klasy it.p.

Dziś jednak koniecznem jest szczególnie ze strony tych, co twierdzą, że hasła demokracji są dla nich nie wyborczym efektem, a myślą przewodnią i celem—pamiętać o konieczności przeobrażenia obyczajowości i duchowego nastawienia. I to tak samo o konieczności walki o przeobrażenie duchowe w rozumieniu propagandy, jak i w rozumieniu przykładu własnego. Nie jest to łatwe. Ale wszelkie pionierstwo należy do zadań trudnych.



JOZEF FALANDYSZ

## POCHÓD MAŁEGO ŚREDNIOWIECZA

Przewidująca, świadoma myśl powinna — pod grozą upiornego widma anarchji — poprzedzać zachodzące w życiu społecznym przemiany i procesy. Dziś dzieje się najczęściej inaczej. Ludzkość staje bezradna wobec wielu faktów w życiu jej zachodzących z zawrotną, oszalamiającą szybkością. Myśl, wlokąca się ociężale wtyle dokonanych zjawisk — zdolna jest tylko biernie stwierdzić „kryzys“, złowieszcze trzeszczenie wiązań i ruinę teoretycznych założeń dzisiejszego porządku i systemu. Lecz to jest karygodną bezradnością, którą trzeba drogo opłacać.

U nas, pokolenie, biorące dziś udział w życiu publicznym, po latach nadludzkich wysiłków, przechodzi okres wyczerpania. Wybitne osłabienie tętna ideowego widoczne jest w literaturze, ograniczającej się przeważnie do zainteresowań „czystej sztuki“, publicystyce i życiu politycznym. Ledwie dymiący, przygasły krater czynu i nowych myśli — zabulgoce od czasu do czasu conajwyżej kłótnią o prawowierność wyznaniową; to znowu wybuchnie rozpaczliwym protestem zaharowanego termity ludzkiego, by napotkać na nieludzkość i okrucieństwo swego możniejszego brata; przewali się przez miasta groźnym nurtem rozkołysanych nienawiści rasowych, lub wreszcie bandyckim napadem chuliganerii studenckiej na profesora! Pozatem trzymanie się kurczowe walącego się porządku wiedzie do coraz dalszego ureakcyjniania się naszego życia, do pogłębiania konfliktów między pracą a kapitałem, do pogłębiania tragedji. Oto, jakże lichy, kicz filmowy naszego dorywczego, nerwowego z dnia na dzień.

W takiej trującej atmosferze wyrasta, żyje młode pokolenie. Na tle ogólnej, beznadziejnej bierności i duchowego snobizmu, łatwego, oportunistycznego kroczenia w ogonie wsteczniectwa, wybucha tu i ówdzie w jej szeregach żywiołowy bunt przeciwko tej szarzyźnie i płyciznie zalewających szeroką, wezbrana falą współczesne życie. Jeśli czasem w uciążliwym tym samodzielnym marszu naprzód zbłądzi — ma na swoje usprawiedliwienie wystarczający argument, którym równocześnie oskarża: „pragnąc tworzyć istotnie, a nie paseistycznie majaczyć, musimy mieć



surowiec w postaci światopoglądu filozoficznego i społecznego. Chcąc organizować psychikę, urabiać typ psychiczny potrzebny ze względów społecznych, musimy wiedzieć coś o tych „względach społecznych“. Ponieważ dotychczasowa publicystyka i polityka nie daje nam potrzebnego substratu, sięgamy sami“.

Oto odpowiedź i usprawiedliwienie.

\* \* \*

Wobec oczywistego bankructwa i przeżywania się obecnego systemu ekonomicznego, którego z dniem każdym gwałtowniejsze konwulsje wstrząsają dzisiejszym życiem—powstaje szeroki ruch przeciwników ustroju kapitalistycznego. Ruch obejmujący wszystkie społecznie-radykalne kierunki a nawet niektóre koła społ.-chrześcijańskie. Przeciw ustrojowi kapitalistycznemu zatem powstaje duży sprzeciw, który zdobywa sobie w szybkim tempie coraz nowych zwolenników. Za powszechną opinią i pod naporem nakazu chwili idą wyznania i międzynarodowe organizacje. Poza radykalnym wypowiedzeniem się w tej materii kleru niektórych kościołów protestanckich, ostatnia encyklika Piusa XI wysuwa dalekie ograniczenia swobodnego używania dóbr, a Międzynarodowa Organizacja Pracy zwołuje narady celem doraźnego, praktycznego już usuwania najdokuczliwszych bolączek dzisiejszego ustroju.

Z jednej podstawy krytycznego ustosunkowania się do dzisiejszego ustroju wypływa też przecenianie przez niektóre koła średniowiecznego ustroju ekonomicznego z jego „iustum pretium“ i korporacyjną budową społeczeństwa. Przedewszystkiem zapoznaje się tu, że współczesne warunki gospodarcze i technika odbiegły daleko od prymitywnej gospodarki średniowiecza. Niewątpliwie średniowiecze było okresem próby realizacji chrześcijaństwa w życiu społecznym, próby, która zawiodła na całej linii wobec jednocześnie zignorowania przez filozofję średniowieczną pewnych zasadniczych praw indywidualnych człowieka, oraz widocznych dążeń ascetycznego pognębienia go. Formą silnej reakcji na ten stan rzeczy — to obudzenie się, w postaci wielkiego ruchu Odrodzenia, ciała — tego ciała sprowadzonego przez św. Pawła do mizernej roli prochu i umartwionego przez posty, biczowanie i pokutę. Odrodzenie, niemniejszy wywarło wpływ na życie gospodarcze jak i na duchowe. Powstają więc w konsekwencji zbytniego przerostu kultu ciała, życia i użycia, prądy reformatorskie będące w następstwie źródłem późniejszych wielkich ruchów społecznych, które do dziś się jeszcze nie zakończyły zwycięstwem sprawiedliwości społecznej, gdyż nie doszły do swego ostatecznego etapu rozwojowego.

Obecnie zaś nawrót do średniowiecza—to w pierwszym rzędzie wyrzeczenie się wolności tak duchowej jak fizycznej—tych wielkich zdobywcy niedawnych dziesiątków lat:



to zmarnowanie i zniszczenie z trudem dokonanej rehabilitacji człowieczeństwa i uwolnienia go od nieludzkiego, bezsensownego umęczania;

to zniszczenie wiekowych wysiłków serca i umysłu nad tworzeniem ram przyjacielskiego współżycia wszystkich grup i narodów bez względu na rasę i wyznanie;

to wreszcie nawrót do prymitywu średniowiecznej gospodarki.

Zwracanie myśli do średniowiecza to w rzeczywistości uchylanie się od ponoszenia ciężkiego trudu budowania na gruncie dotychczasowych zdobyczy większej i lepszej przyszłości od rachitycznego dzisiaj. Tę ckliwą tęsknotę za stosunkami społecznymi średniowiecza pogłębia jeszcze najblędniejsze pod słońcem, tu ówdzie błakające się, mniemanie, że maszyna, wogóle rozwinięta technika, uczyniła swoim niewolnikiem wprzęgniętego do systematycznej pracy fabrycznej robotnika, zrobiła z niego nieczułego, zautomatyzowanego robota, obcego wyższemu życiu duchowemu. W konsekwencji tak dziecinnego patrzenia i rozumienia postępu technicznego i związanego z tem wielkiego zagadnienia prawdziwej racjonalizacji w procesie produkcji—rodzi się prymitywny, prosty, odruchowy bunt przeciw maszynie. Więc nie przeciw istotnej przyczynie istniejącego zła.

W tej formie zatem powraca w XX wieku daleki, tragiczny obraz angielskiego robotnika demolującego i niszczącego w rozpaczliwych, krwawych protestach maszynę, która wdzierając się do warsztatów, wyrzucała go na bruk, pozbawiając zarazem krwawo zdobywanego kawałka chleba.

Nie w nawrocie do przeżytych od wieków form społecznych znajdzie wyjście zapędzona w ślepy, ciemny zaułek ludzkość—ale w realizacji, przy zużytkowaniu całego dotychczasowego dorobku cywilizacyjnego, takiego ustroju i porządku społecznego, w którym przy owym malthusowskim, bogatym stole biesiadnym nakrycia nie zbraknie dla nikogo. W radykalnym i tylko radykalnym rozwiązaniu kwestji społecznej, odpowiadającym dzisiejszym warunkom i dzisiejszym ideom.

Lecz oto w tym marszu naprzód, w szukaniu nowych, odpowiednich dróg napotyka się stale na średniowieczną nietolerancję myśli, na tego odwiecznego, duszącego upiora wojującego wstecznictwa, ten płynący ze snobizmu lub interesu pęd, nawrót ku przeszłości, nawrót ku nowej martyrologji ciemnionej i krzywdzonej części ludzkości. Nie wielkim ale charakterystycznym przykładem tego stanu rzeczy, przykładem jednym z nieprzeliczonych, jest głośny dziś incydent, jaki zaszedł w ostatnich czasach w Wilnie. Gdy grupa młodych literatów i publicystów wileńskich, skupiona przy „autonomicznym“ dodatku „Żagary“ przy „Słowie“, organie zachowawców z B.B.W.R., wyszedłszy poza płacziwą i bezpłodną samą krytykę dzisiejszego ustroju, wypowiedziała się za koniecznością kontrolowania produkcji i uspołecznienia wielkiej własności—pewna część społeczeństwa osądziła to „przejęciem



się“ komunizmem. I mimo, że „żagarowcy“ na każdym kroku podkreślali, że podstawę ich filozoficzną stanowi doktryna chrześcijańska — nic ich nie osłoniło przed zarzutem, że są „skomunizowani“. A słowo to dla wielu już jest wszystkim.

Nie wdając się narazie w głębszą analizę programu „żagarowców“, a dziś „pionierów“,\*) odkładając omówienie, co uważamy za konieczne, stycznych i różnic między nami a tamtą grupą, zwracamy uwagę na sam tylko ten ineydent jako plastyczny, wymowny, makabryczny przykład braku sił śmiałego spojrzenia w przyszłość, nawet i u tych ze starszego społeczeństwa, którzy dostrzegają nędzę dnia dzisiejszego.

Ten to właśnie lęk przed inną, nową przyszłością kieruje znękaną myśl ludzką ku średniowieczu. A idea „małego średniowiecza“ tem jest dziś silniejsza i niebezpieczniejsza, że mając potężnego patrona i zwolennika w Kościele, nie ma zmobilizowanego obozu swych przeciwników.

\*) Grupa „żagarowców“ wydaje obecnie swój dodatek przy „Kurjerze Wileńskim“ pod zmienionym tytułem „Piony“, gdyż redaktor dziennika „Słowo“, popieranego przez ziemiaństwo, „wierzgnął“ — jak pisze jeden z „żagarowców“ — t.zn. zrezygnował ze współpracy z tą grupą.



ANTONI FURGALA

## ZAWIĄZANE OCZY TEMIDY

Wymiar sprawiedliwości w Rzeczypospolitej należy do niezawisłych sądów — głosi art. 2 naszej Konstytucji. Mało w naszym życiu publicznym jest tak wielkich paradoksów, jak ta zasada Konstytucji w odniesieniu do sądownictwa w sprawach małżeńskich na terenie b. zaboru rosyjskiego.

Istotą niezawisłości sędziego jest ustawowe zagwarantowanie mu takiej pozycji w życiu publicznym, by nie był on zależny w dziedzinie wyrokowania od żadnych czynników obok niego lub nad nim stojących, by podlegał w sprawowaniu swego urzędu tylko ustawom. Ustawa i sumienie — to dwa jedyne ograniczenia swobody wyrokowania. Tam, gdzie sądownictwo zorganizowane jest na wzór hierarchji administracyjnej, gdzie sędzia obok ustawy i sumienia ma wykonywać dyrektywy swej władzy przełożonej, stosować się do fluktuacyjnych prądów polityki bieżącej i realizować zmienne wskazania taktyki czynników rządzących, niema mowy o niezawisłości sądów.

Tak zorganizowane jest sądownictwo w ustroju każdej skrajnej dyktatury i w ustroju kościoła rzymsko-katolickiego. Dążność ze strony dyktatury do podporządkowania sędziów swym dyrektywom usprawiedliwiona jest koniecznością utrwalenia swego panowania per fas est nefas przez władców, nie mających zaufania u ogółu społeczeństwa, a w tym celu wnikania w każdy przejaw życia publicznego i prywatnego i trzymania twardą ręką wszystkiego, coby mogło stanąć na przeszkodzie ku zrealizowaniu woli władcy. Obojętnym jest, czy będzie to władca jednostkowy, czy pewna klika (n. p. Z. S. S. R.). W ustroju znów kościoła katolickiego zasada zależności sędziego od władzy hierarchicznie przełożonej wypływa z odwiecznej dążności papieżstwa do panowania nad światem celem zrealizowania Królestwa Bożego na ziemi i oddania berła władzy w ręce Namiestnika Chrystusowego. Stąd płynie potrzeba silnej władzy i skoncentrowania wszystkich jej kierunków (ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej) w jednym ręku. Sędzia kościelny jest więc, jak i sędzia w ustroju dyktatury, zawisły nie-



tylko od ustawy i sumienia, ale przede wszystkim od swej władzy przełożonej.

Powracamy do wzmiankowanego na wstępie paradoksu.

Prawo o małżeństwie z 1836 r., obowiązujące na terenie b. Królestwa Kongresowego, oddaje sądownictwo w sprawach małżeńskich rzym.-katolików, ewangelików, prawosławnych i unitów w ręce duchownych. Dalej jeszcze idzie obowiązujący na Ziemiach Wschodnich Rzplitej Zwód Praw, który sądownictwu duchownemu oddaje sprawy małżeńskie wszystkich wyznań, za wyjątkiem jedynie staroobrzędowców. Skutki tego stanu prawnego rzeczy na terenie Rzplitej są pożałowania godne. Niezharmonizowanie z sobą przepisów różnych wyznań prowadzi do kompletnego chaosu w dziedzinie wyrokowania w sprawach małżeńskich. Ten sam wypadek bywa różnie traktowany w zależności od tego, jakiego wyznania sąd sprawę rozpatruje. Ponadto katolickie sądy duchowne nie respektują wogóle przepisów prawa państwowego, stosując prawo kanoniczne, wdzierają się przez to w atrybucje suwerenności Państwa Polskiego, pozbawiając de facto mocy obowiązującej prawo państwowe.

Po trzynastu latach naszej niezależności politycznej, po tylu wysiłkach, by na arenie międzynarodowej traktowano nas jako państwo o pełnej suwerenności, stosowanie w Polsce do jej obywateli obcych praw i wynoszenie ich sporów poza granicę Polski, do Rzymu, jest tak sprzeczne z honorem niezależnego narodu, że czas już najwyższy położyć temu kres. Stać nas na własne niezależne sądownictwo.

Żeby przynajmniej sądy duchowne dawały zupełną gwarancję sprawiedliwości, sprawa byłaby może mniej paląca, przynajmniej dla oportunistów politycznych. Tymczasem sądy duchowne, — to rzeczy można zwykły kramik. Taki sobie kramik na odpuście średniowiecznym. Przykład: proces o unieważnienie małżeństwa katolickiego. Każdy, kto się uczył prawa kanonicznego, wie, jak trudno jest według przepisów tego prawa uzyskać unieważnienie małżeństwa w kościele katolickim. A w praktyce? W praktyce niema małżeństwa katolickiego, któregooby nie można unieważnić, jeśli się ma pieniądze, współczesny synonim bogactwa, potępionego w stanowczej formie przez czystą naukę Chrystusa. Jest to zwyczajny handel w świątyni, tem karygodniejszy od opisanego w ewangeliji, że tu się handluje nie gołębiami i osłami, a głoszonemi przez kościół prawdami o nierozzerwalności węzła małżeńskiego. Jeden z gorliwych katolików tłumaczył mi nawet, że przecież nie jest to niemoralne, skoro pieniądze tą drogą uzyskane idą na potrzeby kościoła! Zaiste, zadziwiająca jest łatwość przechodzenia do porządku dziennego nad poważnemi sprawami u pewnej kategorii osób. Jeszcze bardziej zadziwiająca jest elastyczność sumień sędziów duchownych. Mimowoli przychodzi na myśl złośliwe powiedzenie, że Temida zawiązała sobie oczy, by nie patrzeć na cynizm sędziów.



Projekt nowego prawa małżeńskiego przekazuje spory w sprawach, powstałych ze stosunków małżeńskich, sądom powszechnym, a więc państwowym. Tylko te sądy mogą wyrokować z mocą wobec prawa państwowego. Nie jest to nowość. We wszystkich państwach europejskich za wyjątkiem Bułgarii, Jugosławji i Litwy kwestja ta jest podobnie unormowana. I wszędzie kościół katolicki pogodził się już z tym stanem rzeczy nietylko mileząco, ale i wyraźnie (n. p. encyklika z dn. 30.XII.1930 r. uznająca odrębność państwowego prawa małżeńskiego od prawa kościelnego). Tylko u nas w Polsce, w kraju mlekiem i miodem dotychczas dla kleru płynącym, wszczęto z tego powodu alarm. Herezja, świętokradztwo, bolszewizm, zamach na święte prawa kościoła — oto argumenty licznych protestujących rezolucyj, inspirowanych niezamordowanie przez kler z całej Polski, a uchwalanych „samorzutnie“ przez ludzi, którzy projektu nawet nie czytali choćby z tej racji, że najczęściej czytać nie umieją.

A inspirowane są te projekty nie dlatego, żeby kler był tak ciemny, iżby nie rozumiał prostej prawdy, że przecież kościół nie może być instytucją naczelną w dziedzinach, które sięgają się do społeczno-publicznego życia w państwie i nie może w czasach społecznych odebrać państwu jego suwerenności, ale dlatego, że przekazanie sądownictwu państwowemu spraw małżeńskich powstrzyma przyływ mamony do przepadzistych kieszeni kleru.

Jesteśmy pewni, że prawodawcy polscy należycie ocenią ciężar gatunkowy tych rezolucyj i w prawie o małżeństwie dadzą wyraz dojrzałości narodu w dziedzinie samostanowienia w swoich sprawach.

Na zakończenie chcemy pocieszyć wszystkich, uważających małżeństwo za sakrament, o którym, patrząc na rzecz z dogmatycznego punktu widzenia, orzekać mogą tylko władze duchowne. Otóż projekt jest bardzo lojalny wobec tej kagorji osób. Mają one możność zwrócić się do sądu duchownego o rozstrzygnięcie, czy, mimo orzeczenia sądów państwowych, małżeństwo jako sakrament istnieje. Sądy bowiem państwowe nie wchodzą zupełnie w ocenę ważności małżeństwa jako sakramentu i orzekają wyłącznie o skutkach cywilnych zawartego związku.



## NOWE WYDAWNICTWA

„Ballada z tamtej strony“ J. Czechowicza.

Po dwóch pierwszych tomikach: „kamień“ i „dzień jak codzień“ czarujących śmiałą i świeżą dojrzałością treści i formy, ukazała się trzecia książka J. Czechowicza: — „ballada z tamtej strony“. Tutaj krzywa interesującej twórczości Czechowicza wznosi się stromą linią jeszcze wyżej, niżli w poprzednich tomach. Wyżej — tak gdy chodzi o wyraz wewnętrzny, jak i stronę czysto formalną. Enigmatyczna treść duszy Czechowicza szuka szczęśliwie właściwego sobie wyrazu w mistycznie wygiętej składni zdań, w sumie układających się w odrębną, zamkniętą w sobie, skończenie piękną architekturę wiersza. A — od wewnątrz? — Zagęszczona, aż do utraty ichu, atmosfera prawdziwej, tragicznej w swym napięciu, poezji, atmosfera, w kolorze i zapachu przypominająca wieczorne majowe niebo, rozświetlane niespodziewanie błyskawicami metafor, ukazujących nam na chwilę zawrotną otchłań i piękno prawdziwej poezji. Książka J. Czechowicza jest wyjątkowo rzadkiem i pięknym zjawiskiem w skłóconym bałwanami morzu frazeologii pseudopoetyckiej.

*Kordjan i cham* — L. Kruczkowski.

Powieść na tle historii nieco odbarwionej ze stereotypowych kolorów przeciętnego podręcznika. Powstanie listopadowe w krzywym zwierciadle codzienności (zresztą tendencyjnie podfałszowanej) interesuje, jako rzecz „odbronzowiona“. Akcja i koncepcje żywe, dobrze świadczą o talencie Kruczkowskiego, ale postacie mimo iż autor przyznaje się do eksploatacji oryginalnych pamiętników, mają rysunek mętny, nierówny i niezyciowy. Całość stanowi zapowiedź ciekawego talentu prozatorskiego, ukazując jednocześnie przedział między zapowiedzią a realizacją.

*Kotyska jodłowa* — J. Liebert.

Czytając wiersze Lieberta ma się przed oczyma jego cichą, smętlivą postać i trudno jest zdobyć się na obiektywną ocenę wierszy człowieka, który był jak dziecko i zgasł jak dziecko. Zahradnik, Liebert, to nie etapy poezji, nie słupy graniczne twórczych mocy — zapewne. To jaskółki pobite burzą. Szczerłość i bezpośredniość oddawna już zdyskwalifikowały się jako mierniki poezji. Niemniej, gdy Liebert szczerze i rzewnie pisze o swej bliskiej śmierci, w tem a nie w czem innym jest cała jego poezja.

*Wspomnienia berlińskie (1902—1924)* K. Rose.

Książka należy do rzędu wydawnictw demaskujących. W świetle namiętnie pisanych stroniec tego pamiętnika państwo niemieckie wygląda ponuro jak jatka. Rzezie, anarchia, skrytobójcze mordy, conocone walki uliczne na przedmieściach Berlina, absurd hitleryzmu i bunt „balticusów“ znalazły w osobie konsula Rosego wnikliwego obserwatora i twórcę syntezy. Synteza ta przeraża, bowiem wynika z niej, że zarzewie wojny światowej tli się nieustannie w granicach państwa, które marząc o podboju świata nurza się w krwawym bezładzie wewnętrznym.



## NOTY

**Otwarcie T-wa Literackiego w Lublinie.** W dniu 21 maja r. b. odbyło się w Lublinie w lokalu tymczasowym przy ul. Niecałej 6 pierwsze inauguracyjne zebranie T-wa Literackiego. Omówiono kwestje statutowe, wybrano zarząd i ustalono listę członków założycieli. Są nimi pp. Fr. Arnsztajnowa, K. Bielski, J. Czechowicz, W. Gralewski, K. A. Jaworski, J. N. Kłossowski, B. Leśmian, J. Łobodowski, A. Madej, H. Malewska, B. L. Michalski i A. Szczerbowski.

**Poezje B. L. Michalskiego.** W najbliższych dniach ukaże się na półkach księgarskich nakładem „Trybuny“ tom wierszy Bronisława Ludwika Michalskiego p. t. „Wczoraj“

**Z postępem.** Endecka „Gazeta Bydgoska“ z 11 maja podaje trzyszpaltową, elektryzującą wiadomość: „Biskup diecezji Lourdes wysłuchał Spowiedzi św. jednej ze swoich owieczek i z Brukseli udzielił jej rozgrzeszenia“.

Znaczy to, że owieczka leżała obłożnie chora w głuchej wiosce pod cudownym Lourdes, a pasterz bawił w Brukseli. Owieczka chciała pojednać się z Bogiem, a miała zaufanie tylko do tego jednego kapłana. Sytuacja więc była trudna. Jak pisze „Gazeta Bydgoska“: „ale nagle myśl Poza oświeciła jego umysł (biskupa). Rozmawiając z przyjacielem, zaproponował mu, aby domownicy przysunęli łóżko z chorą do telefonu i aby ojciec oddał słuchawkę córce“.

Tak, słusznie, to przynajmniej zgodne z duchem czasu

**Taki sobie piernikarz.** Piernikom nie należy ubliżać. Niekiedy mają za sobą i niezłą tradycję — np. toruńskie. A tradycja — tradycją, wiadomo. Tu jednak chodzi o wrednego piernikarza, który w „I. K. C.“ ogłasza, że Lindbergh odzyskałby prędzej porwanego synka, gdyby jako okup zadeklarował odpowiednią ilość jego pierników.

Piernikarzu, piernikarzu jakiś ty podły! Ze smutnej, codziennej tragedji amerykańskiej tyle zrozumiałeś, że ci to pozwoliło wpaść na nowy pomysł ordynarnej reklamy.

**Przyczynek do moralności publicznej.** Kryształowy Adolfek występuje od pewnego czasu w roli fanatycznego obrońcy moralności i etyki dziennikarskiej, prowadząc namiętną kampanję przeciw „I. K. C.“ i jego wydawnictwom. Oczywiście i „I. K. C.“ nie pozostaje dłużny. Wypominają więc sobie wzajemnie wcale niezgorsze świństwa, publikują brzydkie listy — słowem mówią sobie prawdę w oczy.

Prostu publiczne pranie brudów. Et, wart Pac pałaca...

**Bójka z bakcyłami.** Zadzumiony, miotany rozpaczą Paryż Jasieńskiego szuka ratunku i pccieszenia w spirytusie.

Na własnych, dobroczynnych balach milionerzy amerykańscy urzynają się dokumentnie przemycanym alkoholem. Wprawdzie, dżuma wśród nich nie grasuje, no, ale to dobroczynny bal, trzeba zostawić trochę pieniędzy.

Najsłuszniej w świecie postąpił zespół miłośników sceny, zajmując, po przedstawieniu z dochodem na „walkę z gruźlicą“, połowę stolików w jednym z lokali. Walkę nieustępliwą, morderczą z bakcyłami prowadzić powinniśmy wszelkimi sposobami i środkami. Gdyby tylko wszyscy ten swój obowiązek zrozumieli! Lecz gdzież am, większość tego niestety, nie rozumie-czyż trzeba aż dżumy dla przekonania ich?

**O równe szanse.** „Wiadomości Literackie“ przystąpiły do wydawania specjalnego dodatku, poświęconego sprawom obywateli.

Interesujący ten dział przez współpracę w nim najwybitniejszych piór krajowych i zagranicznych—stać się powinien przeciwwagą szerokiej, dobrze zorganizowanej, akcji wszelakiej na tem polu ortodoksji.

**Nie igrać z gromami.** Jeden pan, w dzień po tragicznej śmierci prezydenta Doumera, zamieścił w „Kurjerze Lubelskim“ artykuł, w którym całkowitą winą zabójstwa prezydenta republiki Francuskiej obarczył emigrację rosyjską, obiecał jej srogą



zemstę i sumiennie zapewnił, że krzywdę „usłyszy On“ i krzywda ta nie skona(!), aż krzywdzicieli (emigrację) Boży nie dosięgnie grom!

Gdyby każdą krzywdę, jak też głupotę, mściły owe tajemnicze gromy—niedługo by z pewnością i autor „tragedji“ chodził po tym ziemskim padole. Lecz wtenczas nie spotykałibyśmy przynajmniej tak niekulturalnych artykułów w dziennikach.

\* \* \*

W propos gromów, które mają dosięgać łobuzów, patrzeć tylko, jak grom zetrze w proch nędznego potwarzę, autora głupiej i podlej ulotki na Komisarza Zarządu miejskiego m. Lublina...

**Kłótnia w świątyni.** Głośne już dziś groteskowe zajście w dniu 15 b. m. w Katedrze lubelskiej pomiędzy dwu kapłanami, z których jeden drugiemu przerwał kazanie i nie pozwolił mu je dokończyć, znalazło niemniej dziwny epilog w prasie, gdzie ukazały się wyjaśnienia obu stron. Wyjaśnienia sprzeczne ze sobą, po których równie dobrze jak i przed nimi nikt nie wie, czy miał, u licha, prawo jeden głosić słowo Boże, a drugi mu przerwać, co było rzeczywistym powodem tak niezwyklej cenzury i czy wreszcie Kurja biskupia naprawdę, jak głosi wyjaśnienie, „powiesiła kowala, chociaż zawinił ślusarz“?

## PRO DOMO SUA

Numer niniejszy z przyczyn niezależnych od redakcji ukazuje się z kilkudniowym opóźnieniem. Następny numer (7) „Trybuny“ w zwiększonej objętości ukaże się 15 czerwca.



## Zwrotne poświadczenie odbioru.

Potwierdzam własnoręcznym podpisem, że dnia dzisiejszego otrzymałem wpis poczt 2 dnia 30/3/32

Sądu  
Prokuratury sądu

w

Sygn. Pr-154/32

pod adresem: Pan(i) Józef Sobodowski

w Lublinie Krak. Przedm. 30

Lublin dnia 2/IV

1932 r.

(podpis)

2. Pismo doręczyłem —

a) adresatowi,

b) z powodu nieobecności adresata — dorośtemu domownikowi —  
w braku dorosłego domownika — sasiadowi — dozorczy domu  
nazwiskiem Władysław Horosławski

który zobowiązał się pismo doręczyć; na drzwiach mieszkania adresata przybiłem zawiadomienie, komu przesyłkę doręczono.

c) Odbiorca umieścił swój podpis w części 1 poświadczenia.

d) Ponieważ odbiorca — jest niepiśmienny — odmawia podpisu —  
stwierdzam, że wyżej oznaczone pismo doręczyłem

dnia 2/IV 1932 r.

Listonosz — Postaniec Murzi

(podpis)

3. Ponieważ nie znaleziono nikogo, ktoby pismo oznaczone w części 1 poświadczenia chciał przyjąć, zostawiono je w Urzędzie Gminnym — Magistracio — Komisariacie, Ekspozyturze Magistratu w

o czym na drzwiach mieszkania adresata przybito zawiadomienie.

dnia \_\_\_\_\_ 1932 r.

Listonosz — Postaniec

(podpis)

Wzór Nr. 10-a k.p.k.